Ner 23. Kraków 8 czerwca 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarń.

☛ Przy dzisiejszym Nrze załącza się dla Prenumerujących **Bibliotekę dla Kobiet** ostatni zeszyt pierwszego dziełka — i pierwszy zeszyt dziełka drugiego.

Równouprawnienie.

(Ciąg dalszy.)

Kobieta jako towarzyszka, sprzymierzeniec w walce życia mężczyzny, winna być równouprawnioną we wszystkich kierunkach żywota — mówimy *równouprawnioną* lecz nie *jednako uprawnioną*. Bo gdyby kobieta miała mieć jednakie prawa z mężczyzną, to musiałaby dźwigać i ciężar jego obowiązków. Wszak to słuszna i oczywista, że każde prawo ma swe obowiązki. Więc kobieta ma czynić straż nocną w mieście, ma służyć wojskowo, ma śledzić łotrów, ścigać złodziejów, znosić nieprzyjazne wpływy powietrza, zimna, upału — orać i młócić, męczyć się i pocić *) — a to wszystko dla czego? dla tego, żeby módz mieć szlify oficerskie, chodzić samopas po kątach miasta, jeździć bez opieki po świecie — używać całą piersią swobód i rozkoszy wolności, jaką dziś mężczyzn tylko prawa niesprawiedliwe obdarzyły. Czy te obowiązki odpowiadają siłom kobiety tak fizycznym jak i duchowym? Zdaje nam się, że nie, bo widoczna pod tym względem jest różnica między mężczyzną i kobietą. W kilku słowach ją wykażemy.

Starożytni mawiali: „zdrowy umysł w zdrowém ciele“. I my dobrze wiemy, że dusza oddziaływa na ciało, a ciało na duszę; że niezupełnie mylnéj wiary są ci, co ze znamion ciała na przymioty duszy wnioskują. Lavater częściéj dobre niż mylne wnioski czynił. Rozpatrując się tedy w fizycznych własnościach kobiety, możemy wnioskować o jéj uzdolnieniu umysłowém, zarazem poznamy jéj zupełną różnicę w tym względzie od mężczyzny, a tym sposobem przyjdziemy do tego przekonania, że odpowiednie jéj cielesności i umysłowości prawa muszą być nie te same, co męzkiéj płci.

Kant powiedział: „iż wyobrażeniem wzniosłości jest płeć męzka, żeńska piękności. Istotnie, kto drugiéj połowie rodu ludzkiego nadał imie płci pięknéj, chciał może tylko grzeczność powiedzieć, tymczasem wyrzekł prawdę godną zastanowienia. Najmniéj uważny widzi, że mężczyzna z postaci swéj do trudów prac i dzieł odwagi jest powołany — i to stanowi różnicę budowy jego ciała od płci téj, któréj łagodne domowe obowiązki przeznaczyła przyroda, ztąd w ogólności postać doskonała mężczyzny jest szlachetną, kobiety piękną“. Tak powiada ukochany nasz wieszcz K. B. w swéj rozprawie o wzniosłości i piękności. — I rzeczywiście, któżby temu nie dowierzał? Szkoda tylko, że jéj ci nie rozumieją, co chcą przed światem wnioski praw stawiać.

Czyż siły fizyczne kobiety podołałyby trudom służby wojennéj? Czyż widok potoku krwi, huk dział, jęk konających nie przestraszyłby téj, która na szelest listka drży, którą kwilenie dziecka rozczula, która z obawą siada na wózek, do którego zaprzężono ogniste rumaki? *) Znajdują się wprawdzie wyjątki tak w życiu pospolitém jak i w życiu dziejowém, że kobiety do rycerskich czynów się brały, a nawet niemi słynęły. Mają dzieje na to przykłady: Semiramida, Tomyris, Judyta, Dziewica z Orleanu; w niderlandzkiéj wojnie o niepodległość był hufiec kobiecy; — kobiety te słyną jako bohaterki na karcie dziejowéj. Ale są to tylko wyjątki. Kazimierz Brodziński w swéj rozprawie o piękności i wzniosłości tak między innymi się wyraża: „Kobieta przez łagodne cnoty więcéj przywięzuje, mężczyzna przez wzniosłe wymusza dla siebie szacunek. Ale jakże to do bóstwa zbliża wielkiego męża, który obok czci kochać się każe. I jakże wzniosłą jest piękność, która właściwą godnością cześć dla siebie wymusza. Obydwie płci te przymioty najwięcéj cenią, które wzajem w sobie dostrzegają; równie jak wady mężczyzn więcéj uderzają u kobiety i wzajemnie. Mężczyzna bez honoru tak mało ma szacunku, jak kobieta bez skromności. Zniewieściałość w mężczyznie tak odraża, jak brawura ko-

*) Na nizkim stopniu cywilizacyi i u ludu wiejskiego w ogóle jeszcze i dzisiaj nie ma w istocie różnicy w zatrudnieniach obu płci. (Przyp. red.)

*) Zależy to przeważnie od sposobu wychowania. (Przyp. red.)

biet, co nie wynika z uczuć płci właściwych, śmieszność obudza. Odwaga tak zniewala kobietę, jak mężczyznę łagodność. Z saméj sporności tych dwóch przeciwnych sobie uczuć wynika przywiązanie i wzajemny szacunek, rozwijają się obowiązujące przymioty i powinności". — I zaprawdę, każde orężne wystąpienie kobiety brawurą zwać można. Rozboje Rusinowskiéj przerażają. Wystąpienie orężne Platerówny było więcéj zadziwiającém jak poważném — podziwiamy je sercem, bo siłę miłości ojczyzny wielbimy, podziwiamy je rozumem jako niezwyczajność. Tak podziwiamy olbrzymów, karłów, dwugłowych i t. d. Daleko piękniéj okazała matka Koriolana swą miłość ojczyzny. Natomiast wyprawy Jadwigi na Ruś, wyprawy chrześciańskiéj nikt nie potępi, równie jak Dziewicy z Orleanu lub Judyty Hebrajskiéj — a dla czego — łatwo sobie Czytelniczki wytłumaczą. Odmienny sposób ich wystąpienia, jak odmienne było ich stanowisko!

Tak się rzecz ma z każdym zawodem publicznego życia *), do którego kobietę chcą mecenasi jéj praw powołać. W każdym kierunku właściwości fizyczne i odpowiednie im uzdolnienie umysłowe odsądzają kobietę od stanowiska publicznego, a wskazują jéj inne stanowisko, które kobiety dobrze znają, a na którém im tak bardzo do twarzy było do dziś dnia. — Rzecz tę tak nam przedstawia K. Brodziński w pomienionej już wyżéj rozprawie: „Mężczyzna obowiązany jest żyć i działać według zasad, których długą pracą, walką i doświadczeniem dochodzi; płeć żeńska myśli i czyni wedle uczucia, którém ją hojnie wyposażyła natura. — .....Cnoty kobiet są piękne, mężczyzn wzniosłe. Złego — mówi Kant — unikają kobiety częściéj dla tego, że jest ohydne, aniżeli że jest niesprawiedliwe; i dobre dla tego więcéj kochają, że jest piękne. Ztądto główną cechą mężczyzn jest sprawiedliwość, kobiet litość. Naturalną jest rzeczą, że kobiety nie zawsze chcą pojmować tę cnotę u mężczyzn, która z surowymi i okropnymi nieraz prawami ma związek.

Mezki umysł każe patrzeć na ogólne dobro z poświęceniem szczegółów, serce kobiet troskliwsze jest o szczegół. Mężczyznę obchodzi daleka przyszłość, ją obecność. Niesłusznie wymagać po niéj, aby ją z równém zajęciem obchodziło dobro ogólne — dalekie. Nie poważy się nikt zwać tego egoizmem — owszem jestto poświęcenie się ciche, heroiczne, według heroizmu kobiety, bo ona się tak dla szczegółu poświęca, jak mąż dla ogółu. A z téj sposobności wynikają zarazem wzniosłe i piękne cnoty towarzyskie; wynika wzajemna pieczołowitość o dobro ogólne i szczególne. One naśladują naturę w tém, co w niéj macierzystego widzą, tj. opiekę i troskliwość dla najdrobniejszego stworzenia; my naśladujemy ją więcéj w jéj nieubłaganych zasadach, tj. w poświęceniu szczegółów dla wyższych widoków". — To téż przyroda stósownémi dary wyposażyła obie płcie. Męztwo jest cnotą mężczyzny, któremu w kobiecie odpowiada cierpliwość; bo mężczyzna musi mieczem i słowem walczyć ze złem, a kobieta je znosić (?); to téż mężowi do męztwa dała przyroda ogień odwagi, która głuchym go czyni na boleść; kobiecie dała dobroczynne łzy, z któremi ta boleść tajemnie upływa. Znał więc naturę ludzką prorok gdy mówi: „Pójdźcie dziewice płakać na popiołach Jerozolimy, a wy syny walczcie za chwałę Pana".

Ochmistrzyni kobiet Kl. Hoffmanowa tak się odzywa w téj mierze *): „Wreszcie jakież to kobiety żalą się na przeznaczenie nasze? czyż głos ich może być ważnym i zdanie stanowczém? Czyż jest w ich liczbie jedna matrona wiekiem i cnotą szanowana, jedna żona bez zarzutu i skazy? jedna dobra i szczęśliwa matka, jedna prawdziwa chrześcianka? Nie — są to albo młode bez doświadczenia kobiety, albo takie, co lubo rozumniejsze od innych, dały się odwieść to zbyteczną czułością, to imaginacją, to próżnością i zeszły z drogi powinności. Nie zastanowiły się nad istotném przeznaczeniem kobiety, nie pojęły go, nie dopełniły i bluźnią!" Czyż może być wymowniejszy głos, a jednak głos to bezstronny, bo z łona i przekonania kobiety płynący!

Pomówmy teraz o właściwém stanowisku kobiety — o jego ważności, korzyściach i niekorzyściach i o tém, czegoby dziś jeszcze kobiety życzyć sobie mogły na prawnéj i rozumnéj podstawie.

(Ciąg. d. n.)

*) Pod tym względem odmienne jest zapatrywanie nasze (patrz Nr. 4, 6, 7 roku 1866) — nie jesteśmy wprawdzie za zrównaniem zajęć mężczyzny z kobietą — wolimy ją widzieć przy kołysce dziecięcia niż machającą pałaszem lub wertującą pandekta z okularami na nosie; — ale uważamy za konieczne rozszerzenie zakresu dotychczasowej działalności kobiety choćby ze względu czysto ekonomicznego, ze względu polepszenia bytu rodziny. Utrzymując to, mamy na oku kobiety wszystkich warstw, nawet najniższych, o których autor zdaje się zapominać. — Również przeczymy stanowczo, aby kobieta pod względem fizyczności swéj stała tak daleko poza mężczyzną jak to autor utrzymuje. Są narody, u których kobiety więcéj niż mężczyzni zajmują się pracą fizyczną — i te są najlepszym dowodem, że siły i uzdolnienia fizyczne zależą od ich rozwoju i ćwiczenia. Weźmy ludzi zajmujących się przeważnie nauką czy ci mogą się poszczycić takiemi siłami jak rolnicy, żołnierze itd.? A przecież trudno utrzymywać, że ci ludzie (odpowiednio wychowani) nie podołaliby cięższym zatrudnieniom. (Przyp. Red.)

*) O moralności kobiet.

Przerwane strofy.

I.

Spokoju mego ty mnie nie mącisz,
Nie niepokoisz méj ciszy —
Radości w oczach mych nie rozniecasz,
Nikt żalów moich nie słyszy.

Jesteś jak biała na niebie chmurka —
Pogoda u niéj na skroni,
Nie będzie nigdy burzy zwiastunką,
Choć słońce czasem przesłoni.

Po moich drogach spotykam ciebie,
Jak płyniesz przez moją ciszę;
Gdy się samotny zapatrzę w siebie

I tam cię widzę i słyszę —
I czém ty dla mnie, czém ja dla ciebie?
To mnie pytanie kołysze.

II.

Nim się zaczęło nadszedł już koniec —
— Niech nikt nie mówi o męce —
Jęki i skargi żebraków strawa;
Jak dawniéj podaj mi ręce.

Ani ja tobie o moja biała,
W czémkolwiek mogłem zawinić,
Ani też moim smutkom ciemności
Ty nie pragnęłaś przyczynić.

A więc wyśpiewać ja się nie trwożę,
Że tu początku nie było,
To więc i końca tu być nie może;

I chyba gdzieś za mogiłą
Jeżli się dusze spotkają obie,
Gdy tu nieśmiały, tam zapłaczą sobie.

— d. —

Hermanowe grzechy i kłopoty.

II.

ZBIGNIEW.

(Ciąg dalszy.)

Wątłe dziecko rozwinęło się w silnego chłopca, co nie lubiał dziecinnych zabaw, ale lgnął całém sercem do rycerskiego rzemiosła. Piękny i śmiały, szczery i otwarty, był lubiany w całym dworze. Dopiero miał lat dziewięć, gdy Brzetysław Czeski najechał ziemię ojca jego. Sieciech z rycerstwem wyprawiał się przeciw niemu. Bolesław kiedy ujrzał rycerstwo gotujące się do boju i nucące przed zamkiem pieśń do Boga-rodzicy, kiedy zobaczył rozwinięte znaki — upadł ojcu do nóg i prosił:

— Puść ty mnie ojcze, pohulać z nimi.

Stary Herman zdziwił się niepomału, usłyszawszy prośbę syna i jął go karcić po ojcowsku poważnemi słowy, ale Bolesław na każdą przestrogę i na każde strofowanie ojcowskie miał jedne słowa.

— Puść mnie ojcze z nimi.

Wtedy przed zamkiem zagrały trąby — Bolesławowi zadygotało serce w piersiach żywiéj — silniéj ścisnął ojcowskie kolana i rzekł:

— Ojcze puść, bobym ci się musiał stać nieposłusznym.

Herman rozpłakał się na tronie — odwrócił się do Judyty i rzekł:

— Patrz i on się uparł, bym stracił, co mam najdroższego w życiu. Przez usta jego chce mnie Pan Bóg karać, dla którego złe czyniłem.

— Kogo ręka boska strzeże, ten wśród nieprzyjaciół bezpiecznym będzie, rzekła Judyta i jakaś skryta, szatańska radość przemknęła płomykiem po jéj oczach.

A Bolesławek coraz goręcéj prosił, coraz silniejszy rumieniec zapału wybijał się na białych licach, coraz większy ogień miał w oczach błękitnych — więc zmęczony jego prośbą ojciec, odwrócił się do Sieciecha i rzekł:

— Weż to chłopię uparte z sobą, Sieciechu. Ale miej nad nim baczne oko, bo ci powierzam to, co mam najdroższego na świecie.

I poszedł dziewięcioletni Bolesławek z rycerstwem na Czechy i niedługo wrócił z chwałą i z miłością u wszego rycerstwa. Starym żołnierzom szkliły się łzami oczy z radości, gdy widzieli królewskie chłopię znoszące trudy obozowego życia, leżące na gołéj ziemi, żle odziane przed zimną nocą i słotą — a cóż dopiero, gdy go widzieli jak u boku Sieciecha uwijał się wśród nieprzyjaciół, dzierżąc ciężki miecz w małych rączkach. Bolesławek stał się wkrótce ulubieńcem rycerstwa i dumą jego i gdy Sieciech wracał z nim w Krakowskie mury, rzekł królowi:

— Królu, wziąłem od ciebie dzieciucha, a wraca rycerz.

A królewskie serce rosło od szczęścia i dumy i począł wierzyć, że syn jego rozgłośne imię mieć będzie między sąsiedniemi narody i nie lękał się już tak o niego. Więc gdy przyszła wieść na Zamek, że Pomorzany się burzą i napady czynią, nie bronił już Bolesławowi iść na nich z Sieciechem. Ruszyło ochotne rycerstwo — Pomorzanie na wieść o zbliżaniu wójsk polskich pochowali się po grodach — a najwięcéj schroniło się do Międzyrzecza.

Miejsce to było bardzo obronne, bo i twarde i wysokie mury i naokoło bagna i trzęsawiska niedostępném je czyniły. Do tego na murach mnogo zbrojnego ludu rzucało pociski i kamienie na zbliżającego się nieprzyjaciela.

Sieciech obegnał Międzyrzecz i leżał pod nim całą jesień. Kopano rowy pod miasto, budowano machiny oblężnicze, barany do rozbijania murów — ale próżne

były te wszystkie usiłowania. Rowy psuła woda i błotniste rozcieki, machiny oblężnicze palili Pomorzanie ogniami rzucanemi z murów i gęstym deszczem strzał odpędzali wojsko wdzierające się na mury. Do tego nocne widzenia trwożyły wojsko polskie. Widziano jakieś mgliste wojska, lecące na obóz z trzaskiem wielkim i kiedy rycerstwo zbudzone rzuciło się ku tym marom, Pomorzanie tymczasem na opróżniony obóz napadali, niszcząc i uwożąc ze sobą łupy do miasta.

Te ciągłe bezowocne harce z poganami, to ciągłe siedzenie pod miastem, którego zdobyć nie mógł, bodły dumę Sieciecha. Marszczył nieraz czoło, że tyloletnia rycerska jego sława rozbije się o twarde mury tego miasta — zamyślał więc odstąpić od oblężenia, zwłaszcza, że nadchodząca zima straszyła go.

Jednego więc rana kazał zatrąbić do odwrotu. Bosław jeszcze spał w namiocie, gdy go głos trąby zbudził. Zerwał się, przywdział zbroję, przypasał miecz do boku i spytał giermka swego, ażali wojsko uderza na mury?

— Nie, królewiczu, wojsko wraca do Krakowa.

Bolesław otworzył duże oczy, z niedowierzaniem patrząc na człowieka, co mu tę nowinę gadał.

— Kto kazał?

— Sieciech.

— Jakto? gdy miasto nie zdobyte?

Wybiegł z namiotu — wszedł w środek wybrańszego rycerstwa i rzekł:

— Wy już idziecie, a za plecami waszemi zostawiacie miasto niezdobyte, zostawiacie szyderczy i pogardliwy śmiech wrogów, co szydzą z naszéj słabości? wracacie do Krakowa, by mu o swojéj hańbie powiedzieć? Rycerze zawstydzili się w obec dziecka — bohatera i cicho mruczeli:

— Hetman kazał ....

— Ale ja zakazuję — ja chcę zdobyć miasto.

W téj chwili przejeżdżał na białym koniu Sieciech, w pełnym rynsztunku gotowy do drogi — i usłyszawszy ostatnie wyrazy Bolesława, skrzywił się cierpko.

— No, czas nam w drogę królewiczu.

— Ja nie tchórzę i zostaję — rzekł z dumą królewicz.

Sieciech szyderczo się rozśmiał.

— Jakto na zimę? widać zaraz, że tylko przez pałacowe okna widziałeś zimę, kiedy ci się tu chce zostać na mrozie, wśród śniegu. Paluszki by ci pomarzły królewiczu.

— A wam serce i odwaga już teraz zamarzły — rzekł urażony królewicz: ja nie pojadę z wami, bo ja ze wstydu niemógłbym spojrzeć memu ojcu w oczy.

— Dziecko z was królewiczu i tylko serce mówi przez was, ale nie rozum. Pójdziecie wy już za nami, boć sami nie zostaniecie, by brać w siebie wszystkie pociski nieprzyjaciela.

— Ja zostanę i rycerstwo zostanie.

— Nie usłucha was, bo ja hetman.

— Usłucha, bo ja syn królewski każę — i obracając się do rycerstwa rzekł:

— Rycerze! dziecko was prosi, nie bądźcie słabszego serca niż ono, syn królewski wam rozkazuje: zostańcie tu, skąd odstąpienie hańbą jest. Wpośród wojska po tych słowach powstał najprzód niewyraźny szmer, który coraz bardziéj rósł i potężniał, aż się wzmógł w wielki okrzyk:

— Zostaniemy.

Sieciecha sępie oczy zaiskrzyły się, twarz pobladła z upokorzenia i wstydu i odjechał na stronę sycząc przez zęby:

— Ha, to chłopię może mnie zniszczyć. Królowéj słowa były mądre i dobre.

Trzeba bowiem wiedzieć, że królowa po śmierci Ottona szukała pomocy w Sieciechu, ulubieńcu króla. Wielka duma Sieciecha była bramą, którędy ona chciała dostać się do niego. Ale jako mądra i przebiegła niewiasta, kręto szła do tego celu i nieraz myliła ślad myśli swoich, gdy je już Sieciech odgadywać począł. Nieraz mówiła z nim z udanym żalem o słabości króla, o dzielności Bolesława i w tych rozmowach dawała mu uczuć, że ze śmiercią króla kończy się ich panowanie, że Bolesław nie nagnie przed niemi hardéj głowy. To znowu mówiła mu o potędze cesarza Niemiec, o hojności i łaskach jego. Hetman odgadywał zasłoniętą myśl królowéj, ale zbyt czuł swój wpływ na starego króla, zbyt mało ważył Bolesława, by mu się chciało dzielić władzę choćby z królową, by w niéj szukał pomocnika. Dziś uczuł że królowa miała słuszność i począł głęboko rozmyślać nad tém, jakby usunąć syna, który nie chodził tak, jak ojciec podług jego woli.

Władysław Herman bowiem kochał bardzo Sieciecha. Jeszcze na Mazowieckim zamku zawiązała się ta przyjaźń. Herman słaby i wahający się, potrzebował takiego przyjaciela jak Sieciech, który miał energją, roztropność i pewność siebie. Kiedy Herman zasiadł na stolicy, kłopoty panowania tém bardziéj dały mu uczuć potrzebę Sieciecha. Król nieradny, cały ciężar panowania składał na głowę swego ulubieńca, sobie zostawując imię króla i pompę królewską. Sieciecha dumie schlebiało to stanowisko, jakie miał wobec niedołężnego króla — rozdawał urzędy według swéj woli, niechętnych sobie zrzucał z dostojeństw, oskarżał i na wygnanie skazywał, albo śmiercią karał. Tém gruntował swoją potęgę, ale z drugiéj strony uczynił sobie wielu nieprzyjaciół i niechętnych i téj tajemniczéj niechęci winien był Bolesław, że go tak łatwo rycerstwo usłuchało. Sieciech policzył już myślą tych, na których się pomści za nieposłuch i zelżenie powagi hetmańskiéj i ułożył sobie, że mu trzeba wejść w sojusz z zamia-

rami królowéj. Królowa mając odleglejsze plany na myśli, nie mięszała się w obecne rządy Sieciecha; Sieciechowi więc zdawało się, że w tém złączeniu tylko on zyska. Takie plany kreślił dumny Sieciech, a tymczasem pozostał w obozie, bo go porzucać nie mógł, by do reszty nie poniżyć się w obliczu wojska, udał, że i jego szalona odwaga Bolesława porwała, że chce zdobyć miasto lub zginąć.

Tymczasem Bolesław z całą gorącością młodego wieku wziął się do zdobycia miasta. Przygotowywał różne machiny, okopał się mocno w obozie, by być bezpiecznym przed najazdami nieprzyjacielskiemi, kazał ściągać żywność z okolicy i czekał tylko sposobnéj chwili, by na miasto szturmem uderzyć. Do tego nadchodząca zima zamiast zaszkodzić, przyszła w pomoc oblegającym. Bagna i trzęsawiska zamarzłe, zrobiły im wygodny przystęp pod same mury — rowy nie psuły się więcéj, a miasto samo oblegane czas tak długi, cierpiało głód i niedostatek wielki, a żadna pomoc nie nadchodziła.

To widząc Bolesław, postanowił ostatni cios zadać miastu. Taranami podsuwał się pod mury i tłukł je; Sieciechowi rozkazał uderzyć na bramy, a sam z doborem rycerstwa wdzierał się na wyłomy murów. Straszna była i rozpaczna obrona mieszkańców, ale gdy widzieli, że próżna, poddali się. Bolesław wypuścił ich z miasta z dobytkiem i końmi, jeno broń zabrał— miasto załogą swoją obsadził i zwycięzki z chwałą wracał do Krakowa.

Kiedy na zamku u nóg króla składano chorągwie nieprzyjaciół, a król dziękował Sieciechowi za zwycięztwo, hetman odrzekł:

— To syn wasz królu i Hetmana i wrogów zwyciężył, a gdy to mówił, taki miał cierpki wyraz na twarzy, że królowa ucieszyła się mocno.

— Darujcie mi ojcze, żem nie słuchał hetmana, gdy chciał wracać do was nie wziąwszy miasta.

— A któżby się chciał gniewać na ciebie młody bohaterze. Patrz Sieciechu! przy tym małym znikniemy oba. Ha, cóż robić. Zwyciężył cię jako hetmana, ale cię jak ojca kochać będzie — rzekł uradowany król.

Sieciech podniósł zadumaną głowę i spotkał się ze wzrokiem królowéj — patrzała na niego jak sprzymierzeniec, podczas gdy reszta dworu urągający wzrok miała.

Więc jak tylko wyszli z radnéj sali, Sieciech pospieszył powitać królowę. Długą mieli ze sobą naradę, po któréj Sieciech wyszedł z twarzą rozjaśnioną, wzrokiem butnym i dumnie stąpał po zamkowych podziemiach.

Niedługo dały się uczuć wpływy zemsty Sieciechowéj. Otumanił starego króla, że lud mu niechętny, chce syna jego obrać sobie za króla, że i rycerstwo po jego stronie. Stary król kochał syna, ale kochał także swoją godność królewską. Herman był próżny i dbał o to, by był królem. Sieciech znał słabą stronę króla i w nią ugodził.

— Jakto Sieciechu, ja miałbym zdjąć koronę z głowy i usiąść komornem w zamku na łasce syna, zapomniany od narodu?

— Lud, królu, lubi nowość. Patrzcie na rycerstwo, a przekonacie się, że wam Sieciech prawdę mówi.

— Ale Bolesław odrzuciłby taką pokusę od siebie, coby go oddzielała od miłości ojca.

— Młode serce łatwo zagore żądzą do tak ponętnéj rzeczy. I jam myślał, że o hetmaństwo się nie pokusi, a gdy zrobił początek, to daléj łatwiéj.

— Niedobre dziecko, jam tyle robił, by mu zapewnić koronę.

— To mu ją oddajcie ....

— Teraz? — nie, Sieciechu — ja nie chcę zależeć od łaski syna — zaraz staje mi mego brata żona w pamięci, jéj życie w naszym zamku po śmierci męża — tak upokorzonym, tak na łasce jabym nie chciał tu siedzieć.

Od téj rozmowy z Sieciechem król był obojętniejszym i chłodniejszym dla Bolesława. Sieciech umiał go w tém usposobieniu utrzymać, a do tego podejrzliwemu oku królewskiemu podsuwał skargi na ludzi sobie niechętnych, których chciał zgubić. Tak więc stało się, że wielu dostojników strącono z dostojeństw, wielu fałszywie oskarżonych śmiercią karano, inni uciekali sami z kraju przed zemstą Sieciecha. A Sieciech opróżnione posady zapełniał ludźmi podłymi, ludźmi z gminu, którzy musieli mu być posłuszni i przychylni, wiedząc, że ta sama ręka, co ich podniosła tak wysoko i zepchnąć ich może. Król pozwalał na wszystko, a raczéj nie wiedział o niczém i wiedzieć nie chciał — jemu tak miło było panować; korona, którą z taką bojaźnią przyjmował, łaskotała jego skroń mile, o resztę nie dbał, resztę zostawił Sieciechowi. A tymczasem pod wszechwładnemi rządami Sieciecha liczba niechętnych się zwiększała — wygnańcy i ci, co dobrowolnie kraj opuścili z nienawiści do Sieciecha zbierali się w Czechach, u króla Brzetysława.

Brzetysław rad przyjmował i ugaszczał u siebie wygnańców z Polski. W duszy uśmiechał się zdradny Czech, że mu Polacy sami pomogą pomścić się na Polsce, na Sieciechu, za najazdy na Morawę, i układał plany odwetu i cieszył się wcześnie szczęśliwym wypadkiem. Schlebiało Brzetysławowi, że tak jak dawniéj Polska czeskim wygnańcom pomoc niosła, tak teraz on zaniesie zniszczenie na polską ziemię w obronie jéj wygnańców.

Chciał jednak, aby cios był głębszy i pewniejszy i dla tego szukał jak najwięcéj słusznych powodów najazdu i myśl jego zatrzymała się w klasztorze szląskim, gdzie mieszkał odepchnięty od Hermana *Zbigniew*, syn

pierworodny. Gdy więc dużo niechętnych Sieciechowi zgromadziło się u niego, wysłał posłów do Zbigniewa, którzy mu ofiarowali pomoc króla czeskiego, byle na czele wygnańców dochodził na królu pogwałconych praw swoich i pomścił się na Sieciechu.

(Ciąg dal. n.)

Z PRZYRODY.

Podania ludowe o płazach w wschodniéj Galicyi.

(Dokończenie.)

Żmija *(Vipera Berus)*, którą lud w wschodniéj Galicyi nazywa pospolicie hadyną (gadziną), i lubo nie wszędzie odróżnia od nieszkodliwego węża, jest uważaną za najsroższą nieprzyjaciółkę człowieka. Zabijają ją też bez litości i nie przepuszczają jéj nigdy, chyba lękliwi, którzy zobaczywszy ją, w panicznym przestrachu uciekają przed nią, twierdząc błędnie, że zwijając się w kółka zdoła dognać człowieka. W żywéj wyobraźni ludu jest żmija uosobnionym djabłem, który skrycie czycha na życie ludzkie. Bojaźń przed żmiją jest jednak zwykle przesadzoną, gdyż przypisują jéj siły i skutki o wiele gorsze, niż są w rzeczywistości, gdy tymczasem większa ostrożność, dostateczne obuwie, a w razie ukąszenia prędkie zaradcze środki ochronić mogą wielu od tylu smutnych wypadków, które corocznie tak często się przydarzają między ludnością wiejską.

W miarę swéj szkodliwości, a według mniemania gminu, chęci szkodzenia, doznaje żmija równie srogiéj zemsty. Wieśniak w lesistych okolicach żółkiewskiego obwodu spotkawszy gadzinę, nietylko że ją zabije i rozmiażdże, aby i najmniejszy nie ożył kawałeczek, lecz nakoniec zakopuje ją do ziemi, aby słońce na nią nie patrzyło, i w skutek tego nie zachodziło czerwono, gadzina bowiem patrząc na słońce, ściąga jego siłę, co ma być dla słońca bardzo szkodliwém, ponieważby świecić przestało. Z téj też przyczyny zakopują ją do ziemi, aby na nią mucha nie usiadła, bo późniéj siadając na człowieku lub bydle, większy jad w nie zapuszcza.

Jad żmii według zdania ludu przechowuje się bardzo długo; dla tego też przegryzionego obuwia lub odzienia niebezpiecznie powtórnie używać.

O podobnie długotrwałéj sile jadu słyszałem od strzelców twierdzących, że żmiją wystrzelona strzelba, stale się zaprawia. Strzelba taka rzadko kiedy chybi, naturalnie w rękach dobrego myśliwego, a zwierzęta postrzelone chociaż lekko, puchną i wnet giną.

W razie wypadku ukąszenia przez żmiję ma lud swych lekarzy i zamawiaczów, którzy nieszczęśliwych mają przywracać do życia. Zamawiacze mają tylko potęgą słowa swego odwrócić grożące niebezpieczeństwo, inni zaś tak zwani wróżbici (lekarze na choroby umysłowe i cielesne)! używają w tym celu jakichś tajemniczych środków, połączonych z śmiesznemi gusłami i zaklęciami. Jako znany środek zaradczy używany między ludem na Podolu, ale czy skuteczny, ma być tłuszcz z gadziny, który przykładają do ranki, lub kwaśne mléko, w które wrzucają żaby, a potem niém wymywają miejsce ukąszenia *).

Żaby. Szczególną też uwagę zwraca lud nasz na żaby, bądźto pod względem zabobonnych guseł, do jakich ich używa, bądź pod względem ich głosów, któremi w wiosennych wieczorach i nocach ożywiają ciszę rozlaną w przyrodzie.

Narzędziami zabobonu częstokroć śmiesznego i bezrozumnego są głównie znienawidzone niewinne ropuchy nereczkówki *(Bufo cinereus)*, chociaż i zwykła żabka zielona (drzewianka), więziona w słojach jako żywy barometr, ma swych prześladowców w swawolnych chłopcach. Z igraszki bowiem chowają ją pod pachę, aby łaskotki wyganiała, lub jako środek jedyny przeciw poceniu rąk trzymają ją tak długo, aż się udusi.

Z pomiędzy żab ropuchy pożyteczne w gospodarstwie przyrody, wyrobiły sobie najgorszą opiniją u ludu, co może pochodzi z brzydoty ich kształtu, śmierdzącéj cieczy wydzielanéj i nocnego tajemniczego życia. Dość, że gmin się niemi brzydzi i przypisuje im nadto nadzwyczajną potęgę wzroku, którym zaczarowane ptaszki nie mogą się z miejsca ruszyć. Nie byłoby to jeszcze tak złém, gdyby tylko te zwierzątka nie stawały się pastwą licznych przesądów.

Ropucha wyobraża u wiejskich bab czarownicę, jakiém ją też mianem gdzieniegdzie przezywają, zwłaszcza, znalazłszy ją w chacie lub piwnicy. Wtenczas biorą ropuchę w garnek i wynoszą za wieś, lub wrzucają do ognia (Dobrzanica w Brzeżańskiém). Indziéj znowu spotkawszy ropuchę w domu, zawiązują ją w kawałek płótna i wieszają w kominie, aby się uwędziła. Jak ropusze bowiem wesoło i przyjemnie w kominie, tak ma być i téj, co ją nasłała, aby krowie mléko odebrać. Zaręczają przytém, że czarownica dotknięta ogniową probą ropuchy, wnet przyjdzie i błagać będzie o jéj wy-

---

*) W okolicy Niemierowa, gdzie żmij więcéj niż gdziekolwiek widziałem, zdarzają się bardzo częste wypadki ukąszenia przez żmiję. Dopytując się o środki zaradcze, jakich lud tameczny używa, dowiedziałem się, że szanowna i powszechnie czczona tamże właścicielka wsi Majdan WP. J... K... leczy najpewniéj ukąszonych, przyłożeniem do ranki kamyka, zwanego kober, którymto sposobem staje się prawdziwą dobrodziejką téj okolicy. Dla ściślejszego przekonania udałem się natychmiast do Majdan i wyprosiłem sobie u téj Szanownéj Pani ułamek owego leczniczego kamyka. Prawdopodobnie będzie to ten sam kamyk sztucznego wyrobu, który znany jest Włochom pod nazwą *(piedra della Cobra)*, a o czém już Klug wspomina w swéj Historyi-Naturalnéj.

zwolenie, przyrzekając, że już więcéj nie będzie psuła krowy (Sinków w Czortkowskiém). Jako leczniczy środek ma być ropucha także pomocną. Przeciw zimnicy używa gmin proszku z spalonéj ropuchy, rozpuszczonego w wódce. Sieką biedną ropuchę w drobne kawałki, mięszają je także z ołowiem i grochem i tém zalewają świnię, mającą zawałki (Sinków w Czortkowskiém).

Najbardziej atoli zajmującém, a poniekąd malującém jest naśladowanie głosów żab: drzewianki, jadłówki, wcześniówki i ropuszki kumacza *(Hyla arborea, Rana esculenta, temporaria, Bombinator igneus).* Lud przysłuchujący się orkiestrze wieczornéj, chórów podwodnych, ubrał w dramatyczną szatę chwilę obudzenia się ze snu zimowego tych zwierzątek, do życia pełnego gwaru, lubo melancholijnego. Widzimy tu podchwycenie przyrody z najrozkoszniejszéj jéj strony, kiedy ziemia weselną odziewa się szatą, kiedy kwiaty roztaczają ku sobie wonne kielichy, a melodyjny słowik nie przestaje nucić w zaciszu wikliny. Lud obrazując życie przyrody, wkłada w nią swe myśli i czucia i niejako z nią się rozmawia.

Przytaczam tu np. niektóre znane mi djalogi, które odpowiednio wygłoszone, żywo przypominają hałaśliwe gwary mieszkanek naszych stawów i bagien. Zwykle w tych djalogach występują najpierw dwie rozmawiające z sobą, a późniéj chór cały im odpowiada.

A. Hryć! *B.* Szczo treba? *A.* Żenyty sia treba — ba — ba! *B.* Ou wa! (Janów).

A. Kum, kum, kuma! pożycz połotna! *B.* Ta na szczo? *A.* Ta kum umer. *B.* Ta koły? *A.* Ta w czetwer. *B.* A pła-ka-łyś-te? *A.* Jeszcze ne, zaraz budemy. Chór. Nu! nu! nu! .... (Lubaczów w Żółkiewskiém).

A. Z widky? *B.* Z jarmarku! z jarmarku! z jarmarku! *A.* Szczo kupyła? *B.* Czerewyki-ki-ki-ki. Chór. Na korkach! — na korkach! (Sinków w Czortkowskiém).

A. Kum, kum, kuma! pożycz mi reszota! *B.* Ne pożyczu reszota, bo maju dity na reszoti. Chór. Cha! ka! ka! ka! (Przemyśl).

Lud w Krakowskiém ma odmienny djalog, ściągający się do bociana: *A.* Był tu? *B.* Był. *A.* Wziął którą? *B.* Wziął. *A.* Płaczmy ją! Chór. U-u-u-u-u-u! A skrzeczenie żab uzmysławiają: *A.* Siostro! *B.* Cóż? *A.* Był tu bocian? *B.* Już. Chór. To my rade, rade, rade, rade!

L. Wajgiel.

O muzyce i niektórych jéj mistrzach.

(Ciąg dalszy.)

Nie mamy dzisiaj jasnego pojęcia o tém, co się przez muzykę da przedstawić. Bethowen rozumiał to dobrze, że myśli dadzą się śpiewać, ale nie podobna ich oddać ani smyczkiem, ani dęciem, i dla tego przyzwał udziału słów.

Inne Hamletowe pytanie naszych czasów, czy sztuka z Bethowenem się zakończyła, ma za sobą pewną słuszność wobec symfonii choralnéj, *missa solennis*, i owego kwartetu, który liryczną bujność aż do ostatecznych kresów wytężenia posuwa. Pytanie to wymaga zastanowienia.

Są dwa rodzaje artystów. Jedni występują wcześnie i odrazu z skończonemi dziełami, unoszą się predestynacją ponad mozolną drogą rozwoju, dojrzewają jakby pod bezpośrednią mocą tajemnicy przyrodzonéj. Mendelssohn pisał w wczesnéj młodości uwerturę do „snu nocy letniéj“, dzieło którego późniéj ani głębokością pomysłu, ani sztuką wykonania nie przewyższył. Drugi rodzaj zaczyna od drobnych rzeczy, a kończy nadzwyczajnościami. Obejmują oni najpierw z miłością dziedzictwo tradycyjne i nabywają ztąd mocą własnéj pracy niesłychanéj potęgi. Czyż nie należałoby myśleć, że twórca symfonii zaczął od tego, że w kolebce dusił węże? Jednak całe życie rośnie siła jego, jako rzeka ku morzu dążąca: wybrzeża ziemi nikną coraz daléj i na wielkiém zwierciedle wód rozpromienia się słońce samo jedno. Na tych falach usiadła teraz historja sztuki bez kompasu i stéru w małéj łodzi i nie wie co dalééj począć.

Gdy geniusz Bethowena zagasił pochodnie i nastała noc po téj pełni bożego światła, opanowało umysły jedno uczucie zaćmienia. Ależ słońce stanie znowu na wschodzie, a tymczasem cieszmy się błogosławionemi światłami, które przyjazna potęga dla ciemnych godzin roznieciła. Każdy artysta jest osobną indywidualnością. Każdemu z nich zadaje jego wewnętrzne przeznaczenie właściwe sobie zadanie do rozwiązania, a zależne od warunków w jakich się znajduje. Sonata Bethowena jest postępem wobec Mozartowych, jest rozszerzeniem tego zakresu. Są style i ideały, które pewnemu wiekowi przynależą i giną u szczytu rozwoju. Żaden rozumny wiek nie będzie chciał prześcignąć „passyj i kantat“ Seb. Bacha, bo kontrapunktyczna pobożność zakończyła się z tym mistrzem. Nikt nie zechce stawiać Haendla ponad Bacha, a jednak w jego „oratorjach“ jest postęp: jego wiara bije z życia i staje się dramatyczną. „Zaślubiny Figara“ nareszcie pozostaną tak długo ideałem opery, jak długo dla powabu uszlachetnionéj zmysłowości i dla wspaniałego wdzięku miary i szyku nie braknie publiczności; a jednak Gluka „Ifigenia w Aulis“ jest zbogaceniem w znaczeniu dramaturgicznem.

Zatém nie symfonia się skończyła, ale jedynie Bethowenowska. Jeszcze o niéj słów kilka. „Adagio“, to najświętsze świadectwo umysłu ludzkiego, poruszanego boskiemi wrażeniami, wymaga orkiestry z poetów. Każda nuta tchnie wyższém namaszczeniem. „Scherzo“, owe śmiejące się i płaczące scherzo nie ma dla siebie dość treściwego wykonania. „Crescenda“ i „Fortissima“ musiałyby zgruchotać pierś i narzędzie, gdyby były wykonywane z niesfałszowanym nawałem namiętnego stopniowania. „Trio“ występuje w pośród tego niby

wizja — jestto uniesienie, ale nie senne. W dziewiątéj symfonii nie ma snu, łuk życia jest tam naciągnięty aż do pęknięcia, ale strzałą na nim jest tylko jedna myśl, myśl wybawienia odbijająca się na sercu ludzkości. Walkę na śmierć i życie pomiędzy ideałem a zjawiskiem, między życzeniem a zrzeczeniem, winna odgrywać orkiestra nie jak batalją na którą żołnierz nieświadomy idzie po ukazie, ale jak batalją, w której człowiek walczy o najświętsze dobra, o wolność, o religią, o rodzinę. (Ciąg d. n.)

Prawa kobiet w parlamencie angielskim. Na jednem z ostatnich posiedzeń w izbie gmin przy rozprawie nad prawem wyborczém, wywiązała się następująca dyskusya: J. Stuart Mill:

„Żądam, ażeby w ustawie słowo mężczyzna zastąpiono słowem osoba, w celu uchylenia niesłusznego wykluczenia kobiet od prawa głosowania. Nie ma nic, coby uprawniało to wykluczenie, jestto jedyny wyjątek w ustawodawstwie angielskiém. Wykracza on nietylko w ogóle przeciw zasadzie sprawiedliwości, ale również przeciwko głównéj podstawie konstytucyi, że podatkowanie i reprezentacja są nieodłączne od siebie. Otóż kobiety tak dobrze płacą podatki jak mężczyźni. I przecież nikt nie zechce utrzymywać, że kobieta, która prowadzi dom albo interes, płaci podatki, albo jako nauczycielka nauczyła uczennice swoje daleko więcéj, niż wielu z męzkich wyborców przez całe swoje życie się nauczą; że taka kobieta nie jest zdolną do głosowania. Ażeby osobnik, albo cała warstwa od prawa głosu wykluczoną być mogła, musi pierwéj brak uzdolnienia, albo niebezpieczeństwo być wykazane. Ani jedno, ani drugie tutaj nie zachodzi. Jakież są więc praktyczne powody przeciw temu? przecież nie to, że kobiety w ulicznych meetingach w Hydeparku nie grają żadnéj roli! (wesołość). Wchodzą tutaj w grę raczéj uczucia, jak powody rozumne — między niemi zaś przedewszystkiem ta okoliczność, że idzie tu rzecz o coś, czego jeszcze nie było. Ale i to nie jest w zupełności prawdą, a zresztą gdyby i tak było, to opór przeciw wszystkiemu, co nowe wnet się ucisza. Utrzymują niektórzy: polityka nie jest dla kobiet, odrywałaby ich od obowiązków domowych, a nadto mają one już i bez tego dosyć władzy w państwie (wesołość). Lecz należy rozważyć z drugiéj strony, że nikogo to od obowiązków nie odrywa, jeżeli raz na kilka lat pójdzie na miejsce wyborów; że świadomość kobiet zainteresuje się sprawami krajowemi, i że kobiety mają doskonały sąd o finansach, ponieważ całe życie swoje têm się zajmują, ażeby drobnemi środkami wielkie rezultata osiągnąć, gdy przeciwnie panowie na czele rządu zbyt często z wielkiemi środkami nędzne robią *fiasco*. Za dużo zwykle mówimy o politycznych, a za mało o domowych i społecznych rewolucjach. Jeżeli nie zechcemy podnieść kobiety do umysłowego niveau mężczyzn, wtedy muszą mężczyźni spaść do umysłowego stanu kobiet; i gdyby to rzeczywiście było prawdą, że płeć delikatna nie troszczy się o polityczne równouprawnienie z mężczyznami, to nie dowodziłoby niczego więcéj, jak tylko, że dotąd wychowanie kobiet, systematycznie z planu było zaniedbywane. Że one posiadają wiele władzy i wiele wpływu, nic to nie znaczy — uposażony ma wszędzie więcéj wpływu, jak ubogi, a jeszcze przecież nikomu przez myśl nie przeszło, żeby jego polityczne prawa jedynie z tego powodu ukrócać. Władza kobiet była dotąd nieodpowiedzialną — był to przywilej, który powinien ustać — żądam więc, żeby się stała odpowiedzialną. Zamiast je zmuszać do tego, że działają za pomocą tajnych pochlebstw, dozwólmy im jawnie wypowiadać ich uczucia, potrzeby i polityczne zdania. Niejedna kobieta góruje nad nami rozsądkiem i sumiennością. Dajmy im w państwie te prawa, których się mogą domagać: prawo głosu, prawo rozrządzania swoją własnością i prawo praktycznego zpożytkowania akademickich fachowych studjów, to jest prawo zostawania doktorami, adwokatami, pastorami. *Mr. Fancett* popiera wniosek gorąco. *Mr. Laing* mówi przeciw: Jedno jest tylko państwo, gdzie kobiety mają bezpośredni udział w rządzeniu tj. królestwo Dahomej, którego instytucyi jednak nie bardzo sobie życzyć wypada *). *Sir J. Bowyer* popiera wniosek z racyi równego ponoszenia ciężarów podatkowych. *Lord Gawlay* zaleca usunięcie wniosku, gdyż wszyscy wielbiciele płci pięknéj, byliby w razie głosowania w fałszywém położeniu. *Mr. Onslow*, który jest również przeciw głosowaniu, opowiada, że właśnie spotkał na kurytarzu dwie damy, i że na zapytanie jego, komuby w razie uprawnienia ich głosy dawały, odpowiedziały mu: zawsze w zamian za najpiękniejsze brylantowe kolczyki. Ponieważ *J. St. Mill* nie cofnął wniosku, przystąpiono do głosowania — 196 głosów było przeciw, 73 za, wniosek więc upadł.

Na poprzednich sesjach stawiano już nieraz podobne poprawki — nie osiągły one jednak nigdy dotąd zaszczytu rozprawy, aż dopiero tą razą, gdy wniosek wyszedł od Milla, który jest zarówno znakomitym politykiem, jak i sławnym uczonym. W senacie Stanów Zjednoczonych pozyskała strona przeciwna równouprawnieniu kobiet już tylko bardzo nieznaczną większość, a dwa stany: Wisconsin i Kansas uchwaliły już u siebie ustawę równouprawnienia. Tak więc toczy się ta sprawa na obu półkulach ziemi — wywrze ona nieobliczony wpływ na cały bieg i charakter wypadków społecznych i politycznych — a tymczasem objawy tego ruchu przynajmniéj zapisywać należy.

*) Panują tam dotąd ofiary z ludzi. (Przyp. Red).

— Pani *M. Saulson* znana autorka, któréj czynność literacka zdaje się być głównie skierowaną ku temu, żeby swoim współ-wyznawcom starozakonnym dostarczyć religijnych książek w polskim języku — wydała obecnie polski przekład dramatu Lessinga: „Nathan mędrzec“.

Korespondencja „Kaliny“.

M. N. Żądane objaśnienia prześlemy Pani wkrótce listownie, po wyszukaniu odnośnych dzieł — dla podobnych prac zawsze na usługi.

Panu ***N. O. Z.*** **Lwów.** Wiersz poświęcony pamięci „Daniela B.“ jest wcale udatny, ale zmarły zbyt mało znany, aby wiersz ten zainteresował Czytelniczki nasze. Jeżeli muza Pańska nie ogranicza się na tym jednym wierszyku — to prosimy o łaskawe nadesłanie nam innych prac swoich, mających cechę mniéj prywatną.

? Wiersze pańskie prześlemy do „Przeglądu lekarskiego“ dla diagnozy.

Ma. Żądaną książkę odbierze Pani wprost z Lipska.

Od zarządu sprawunkowego „Kaliny“.

D. E. w **Rz.** Pozostała reszta 2 złr. 30 c. oddaną została według żądania na dalszą prenumeratę.

L. w **B.** Lewicki niema w Krakowie magazynu.

Ro. Kr. Potrzeba na to przynajmniéj dwóch tygodni.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.